Martin CROSS

LUDZKIE ZDJĘCIE

Martin Cross

Ludzkie zdjęcie

© Copyright by Martin Cross & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Martin Cross
ISBN 978-83-7859-087-3

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

DOBRY GLINA

Gdy dobrze się bawimy, nie zdajemy sobie sprawy,
że nieistotne zdarzenie może ten nastrój szybko zmienić.

Łódzkie, styczeń 1996

Na weselu Albert Jabłoński bawił się wspaniale i dosłownie szalał na parkiecie. Nikt go tu nie znał, bo był daleko od swoich rodzinnych stron, a znajomi, którzy zaprosili na uroczystość, dość wcześnie wyszli.

Już kilka tygodni temu uznali z Bogną, że nie ma co wracać samochodem kilkadziesiąt kilometrów w styczniowy, zimny poranek zaraz po weselu – lepiej się wyspać i odpocząć na miejscu w hotelu. Ale teraz żona ze złamaną nogą leżała w szpitalu, a on pił i tańczył do upadłego. Rozumiał, że taka okazja może się więcej nie powtórzyć. W zasadzie po szampańskiej zabawie chciał się wyspać i taką wersję przyjął za oficjalną. Wyróżniał się, bo jako jedyny miał wspaniały smoking z muszką. Śnieżnobiałą koszulę przepasał szarfą, a na jego nogach lśniły lakierki. Był piękny i intrygujący, dlatego szybko został duszą towarzystwa. Inni mężczyźni mieli zwykłe garnitury, ale po kilku kieliszkach wódki nikt nie dostrzegał różnicy. Rozumiał się z nimi doskonale – wszyscy ostro pili i namawiali do szybkich i ekspresyjnych harców. Również kobiety bawiły się cudownie – w tańcu prowadziły się wspaniale i gromkim śmiechem odpowiadały na każdy komplement. Ale mimo wyjątkowo sprzyjających okoliczności Albert nie przekraczał pewnych granic, bo ostatnio miał dość seksu. Odkąd ich córeczka Dorot-

ka skończyła dwa lata, Bogna uparła się, że muszą jej zafundować rodzeństwo. Gdy protestował, przypomniała:

– Swej pierwszej żonie dałeś piękny dom i dwójkę dzieci. Co, jestem gorsza?

Nie była, więc starał się sprostać zadaniu. W jej dni płodne robili to przynajmniej trzy razy dziennie – zdarzało się, że i cztery. Kierat. Normalna pańszczyzna w tym, co powinno przynosić radość, szczęście i odprężenie. Przez resztę miesiąca były długie nocne rozmowy i celibat, by nagromadził odpowiednią ilość spermy z plemnikami. Po pół roku takiego intymnego życia miał po prostu dość bezowocnych starań o potomka. Myślał o zmianie strategii, ale nie zdążył jej wprowadzić w życie, gdyż tydzień temu coś zaszwankowało. Mieli to zrobić po raz pierwszy w ich nowym domu. Sytuacja wydawała się wyjątkowo komfortowa – Dorotka została u babci, więc czas był tylko dla nich. Rozłożyli nowe meble do sypialni z ogromnym i wygodnym łóżkiem. Nikt nie przeszkadzał, więc chcieli w spokoju wszystko wypróbować. No i coś w jego męskości zawiodło – nie mógł się podniecić. Gdy zaczęła narzekać, poirytowany wypalił:

– Bogna! Za dużo ode mnie wymagasz, nie daję rady. Daj mi moment odpocząć! Odpuść trochę!

Żona natychmiast się wściekła i boso wybiegła z sypialni. Poślizgnęła się na świeżo polakierowanym parkiecie i jego niedbale rzuconych ubraniach i… spadła ze schodów, nieszczęśliwie łamiąc nogę. Zanim przyjechało pogotowie, musiał ją ubrać. Nie było ani miło, ani cicho. Po południu cała jej i jego rodzina wiedziała, że brak mu męskiego wigoru i przez swoje bałaganiarstwo winny jest bolesnej kontuzji żony. Te pomówienia uderzyły w jego dumę – odpowiedzialnego Wielkopolanina uporządkowanego do granic wytrzymałości! Był na nią wściekły, dlatego postanowił na wesele przyjechać sam. Jednak im dłużej myślał, tym większe miał wątpliwości co do swojej

męskiej sprawności. Po wypiciu kilkunastu kieliszków wódki i kilku komplementach pań, uznał, że powinien sprawdzić, czy wszystko jest z nim w porządku w intymnej sytuacji z inną kobietą. Przecież w wieku trzydziestu kilku lat nie stosuje się wspomagania potencji! Chwilowa niedyspozycja to z pewnością wina Bogny i tych niestrudzonych starań o jego czwarte dziecko! Ta zniewaga wymagała satysfakcji. Nie planował tego, ale w tańcu kilka razy przytulił się do kobiety, dotknął jakąś w talii, ręka ześlizgnęła się na pośladek, na swoim ciele poczuł miękki biust, znaczący uścisk dłoni... Po dłuższym zastanowieniu uznał, że skoro jest okazja, warto zabawić się na całego.

By móc odegrać się na Bognie, zaraz przed północą zaczął szukać dziewczyny bez partnera i rodziny. Jednak wśród gości dominowały pary i córki z rodzicami. Żadnej samotnej – wszystkie z osobą towarzyszącą. Już uznał, że z planowanej zdrady nic nie wyjdzie, gdy podczas oczepin poczuł na sobie wyraźny wzrok wokalistki. Postanowił zaatakować. Podczas dłuższej przerwy po północy podszedł do stolika zespołu muzycznego. By nawiązać rozmowę, chciał zamówić dedykację dla młodej pary. Gdy był blisko, kobieta szczerze się uśmiechnęła, trzepocząc rzęsami i szeroko rozszerzając oczy. Wstała i zrobiła mu miejsce na ławce za stolikiem. Sama usiadła w części czołowej stołu na krześle, głęboko się wsuwając. Dzięki temu mogli swobodnie na siebie patrzeć.

– Dobry wieczór! Można? – zagadnął, chcąc zyskać przychylność członków zespołu muzycznego, ale mężczyźni nie zwracali na niego uwagi. Żywo rozmawiali o jakimś policjancie o nazwisku Prosty. Jabłoński przystanął na moment i zaczął się przysłuchiwać. Też pracował w policji, ale w innym województwie. Był ciekaw, co mówią o funkcjonariuszach, dlatego postanowił nie przyznawać się do swojej profesji.

– Proszę siadać. Chłopaki są już nieco wcięci i zanim pana zauważą, minie trochę czasu – powiedziała wokalistka.

Albert uległ jej namowom i usiadł we wskazanym miejscu. Aby to zrobić, musiał przesunąć książkę leżącą na ławce. Zauważył tytuł: „Psy – męskie fascynacje". Zapytał:

– Czyta pani w pracy?

– Nie, sporo dojeżdżam autobusami i kolega przyniósł jakąś lekturę. Ponoć lekką i przyjemną.

– To nie jest o policjantach czy tym znanym filmie?

– Nie.

Siadając, dotknął przez przypadek jej kolana. Nie cofnęła go, a nawet obdarzyła jeszcze bardziej zachęcającym uśmiechem.

– Jola jestem – rezolutnie powiedziała, wyciągając swoją dłoń w jego kierunku.

– Albert – szybko odpowiedział, biorąc w dłonie jej rękę. W myślach przyznał, że z bliska wyglądała zdecydowanie korzystniej. Miała około trzydziestu lat. Była zgrabną, drobną szatynką z długimi, niesamowicie skręconymi włosami. Mimo kilku godzin spędzonych na weselu ładnie pachniała. Do drobnej twarzy nie pasował co prawda nieco za duży, ostry nos, ale reszta była bez zarzutu: biust – duże „c", wcięcie w talii osy, zgrabna pupa z lekko podniesionymi pośladkami, proste nogi na efektowanych szpilkach. Czegóż można chcieć więcej?

Członkowie zespołu dopiero teraz go zauważyli, więc zapytał:

– Przepraszam, kto jest tutaj kierownikiem?

– A bo co? – niezbyt przyjaźnie zapytał gitarzysta.

– Dedykację chciałem zamówić.

– Masz, kolego, i napisz, co i jak. Nie chcę pomylić nazwiska czy imienia.

Gitarzysta podał mu długopis i kartkę. Albert wziął je i zaczął się mozolić, co wymyślić. Trochę to trwało, więc mężczyźni – jako że nie była to ich wódka – szybko zaproponowali kolejkę, którą natychmiast wypili. Jola przedstawiła:

– Gitarzysta Krzysiek jest kierownikiem i liderem w naszym

zespole.

– Aha. Miło mi, a kto to jest ten Prosty? – zapytał zaciekawiony Jabłoński.

– Gerard Prosty to był jedyny dobry glina z drogówki w naszym mieście – powiedział klawiszowiec.

Usłyszawszy taką odpowiedź, Albert zrobił głupią minę, bo generalnie panuje zgoła odmienna opinia o funkcjonariuszach – zwłaszcza tych z drogówki. On pracował w dochodzeniówce i sam opowiadał głupie dowcipy o policjantach z Wydziału Ruchu Drogowego. Zaciekawiony zadał następne pytanie:

– Dlaczego tak o nim mówicie?

Przysunął się bliżej końca stołu i tym samym wokalistki. Dotykali się udami, a ona nie odsuwała swojego od niego. Potraktował to jako dobry znak. Albert Jabłoński chciał zyskać na czasie, więc udawał, że chce dowiedzieć się czegoś więcej o policjancie.

– Weź, przestań. Nie znałeś go? – Krzysiek, lider zespołu, był szczerze zdziwiony.

– Nie.

– Zasługiwał, żeby tak o nim mówić. Rozumiał ludzi – wtrącił się do rozmowy klawiszowiec.

Albert zupełnie nie pojmował: po co policjant z drogówki ma rozumieć ludzi?! On ma ich łapać za nieprzestrzeganie przepisów ruchu drogowego! Wszystko! Zdjął prawą rękę ze stołu i położył pod blatem. Udawał, że opiera się na ławeczce, ale dzięki temu dłoń miał bliżej pośladka kobiety. Zrozumiał, że alkohol dodaje odwagi obojgu. Ona uśmiechała się coraz bardziej zachęcająco. Widział, jak rozszerza płatki nosa, usiłując poczuć jego zapach, a on dziś użył swojej najlepszej, drogiej wody i dezodorantu. Feromony dosłownie wirowały obok nich a ciała do siebie lgnęły, ale członkowie zespołu zupełnie tego nie dostrzegali.

– Nie tak, jak ten fotograf – emerytowany milicjant, co ga-

niał emzetką za kilkuletnimi chłopcami, gdy jeździli na rowerach po chodnikach – dodał kamerzysta. – Nikomu nie przepuścił: starym babkom, które przechodziły nie po pasach, kierowcom, którzy o pięć kilometrów przekroczyli szybkość, rowerzystom bez karty rowerowej. Nikomu.

– Fotograf, mówicie? Były milicjant? – Albert z jednej strony usiłował zaaklimatyzować się w tym towarzystwie, a z drugiej przypomniał sobie o zdarzeniu z fotografem i swoją drugą żonę. Poznał ją właśnie przez domorosłego autora zdjęć porno. Gdy była młodą kobietą, mamiąc karierą modelki, porobił jej kilkadziesiąt pozowanych, odważnych zdjęć. Jak została dyrektorem w firmie ubezpieczeniowej – zaczął ją szantażować. Szef kazał mu sprawę załatwić szybko i w miarę dyskretnie. Zrobił to, a wartością dodaną były romans z Bogną i ciąża. W efekcie wszystko skończyło się rozwodem z pierwszą żoną Anną, ślubem i wspólnymi interesami. Jabłoński, mimo że nie znał i nie zamierzał nikogo prócz wokalistki poznać w tej miejscowości, postanowił blefować.

– To chyba go znam.

Ręką objął pośladek dziewczyny. Nie protestowała, co więcej – położyła swoją dłoń na jego kolanie. Zaczął delikatnie dotykać jej pośladka i uda. Pod tkaniną sukienki poczuł kształt bielizny i pończoch. Korzystając z chwili ciszy, szepnął do ucha Joli:

– Na górze mam wolny pokój. Będę tu nocował.

Klawiszowiec nagle głośno się odezwał:

– Wszyscy go znają, taki to skurwiel.

LUDZKIE ZDJĘCIE

Czasami jedno zdjęcie decyduje o dalszym życiu człowieka.

Wielkopolska, luty 1995

Bartek Cmiena pił w samotności i miał wszystkiego dość – lutowego mrozu, który panował na zewnątrz, zaduchu w barze, pokiereszowanych i smutnych twarzy wokół, a nade wszystko tego oszusta, który liczył przy kasie. Mimo wypicia kilku kieliszków wódki Cmiena nie rozumiał sytuacji, w jakiej się znalazł. On, doskonały fotoreporter lokalnej gazety, nagrodzony miesiąc temu prestiżowym wyróżnieniem w ogólnopolskim plebiscycie, nagle został wyrzucony przez nowego redaktora naczelnego. Niepojęte. Siedział w branży od blisko piętnastu lat, a ten dupek... niecały rok, i tak go potraktował!? Wiedział, że wściekłość będzie go trzymać do momentu całkowitego upojenia alkoholem. Dlatego cynicznie pił i chciał tym uciszyć emocje, które mogły eksplodować niepohamowaną furią. Było mu po prostu źle. Gdy przechylił kolejny kieliszek wódki, usłyszał:

– Można? Tylko tu w całym barze jest wolne miejsce. Zamówię śledzika, zapłacę...?

Facet z brodą chciał się przysiąść, ale twarz Bartka nie wyrażała aprobaty, więc mężczyzna podbił stawkę:

– Pięknie. A może bigosik? Na mój koszt. Na pusty żołądek radzę tyle nie pić.

– Eee – odburknął Cmiena, ale równocześnie skinął głową i pokazał ręką, że gość może usiąść. Wpływ na decyzję miał głód – przez chęć upicia się fotoreporter zapomniał, że nic od wczoraj nie jadł. Słowo „bigos" pobudziło ssanie w żołądku. Nagle Bartek wyobraził sobie kwaśny zapach gotowanego przez kilka dni i już przegryzionego specjału. Prawie poczuł na języku kawałki poszatkowanej kapusty, mięsa i swojskiej kiełbasy. Niewątpliwie był bardzo głodny, a na ten moment propozycja brzmiała całkiem dobrze. Dziś miał gest, więc postanowił, że może postawić nieznajomemu dwie kolejki wódki. Uznał, że obaj potrzebują towarzystwa. Mimo że gość dobrze wyglądał, śmierdział jak czynny alkoholik. Bartek spojrzał na kompana uważnie, a ten się przedstawił.

– Irek jestem.

– Bartek – od razu odpowiedział fotoreporter i nie czekając na pytanie, zaczął:

– Wylali mnie dziś z roboty. Tak po prostu. Po kilku latach…

– Ładnie, ładnie. A to skurwysyny. Mnie też wylali – Irek od razu powiedział, znajdując wspólny temat.

– A to ci dopiero… To se poopowiadamy – wycedził Cmiena przez zęby.

– Ale mnie dwa lata temu – zastrzegł mężczyzna.

– Ooo… – odbąknął ze zdziwienia Bartek i zamówił dwie kolejki wódki i porcję bigosu.

Wcześniej popijał alkohol jedynie rozcieńczonym sokiem pomarańczowym. W sytuacji gdy pojawił się kompan, chęć, by jak najszybciej się upić, stała się nieaktualna, bo można było sobie pogadać. Bartek uznał, że skoro to jego stolik i złożył zamówienie, zacznie opowiadać jako pierwszy:

– Skurwysyny…

– No – odpowiedział gość z brodą.

– Takie skurwysyny – dodał fotoreporter.

– No – po raz drugi powtórzył Ireneusz, ale niespodziewa-

nie przejął inicjatywę w rozmowie:

– Ale wyobraź sobie, że sprawy mogą wyglądać zdecydowanie gorzej…

– Jak?

Bartek pokiwał z niedowierzaniem głową, bo jak mu się zdawało, to jego spotkała ogromna krzywda, a nie tego śmiesznego człowieka z bródką. Stracił najważniejszą rzecz w swoim życiu: pracę lokalnego fotoreportera! Miał świadomość, że może nie dawała zbyt dużo pieniędzy, ale zapewniała prestiż. To skutkowało dodatkowymi zajęciami. Znane nazwisko powodowało, że ludzie chętnie korzystali z usług jego zakładu fotograficznego i zlecali wykonanie zdjęć na weselach lub chrzcinach. Był lepszy od konkurencji, bo miał renomę, co tydzień potwierdzaną kolejnymi zdjęciami w tygodniku. Dzięki temu Bartek w każdy weekend był zajęty, nie licząc postu i adwentu. Zdarzało mu się też robić zdjęcia dla policji i prokuratury. Jednostkowo nie zarabiał wiele, ale jak mówi przysłowie, „ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka". Jakoś starczało na rachunki. Teraz mógł to stracić, a nie oszczędzał, bo wszystko lokował w coraz to lepszy sprzęt.

Gdy popatrzył na rozmówcę, zrozumiał, że mu się nie przeciwstawi, gdyż kompan jest mocno podekscytowany i zdeterminowany – musi pierwszy wygadać się z krzywdy, jaka go spotkała. To mu nie pasowało, więc rozejrzał się wokoło, szukając kogoś, kto mógłby mu pomóc. Nikogo takiego nie dostrzegł, więc z rezygnacją popatrzył na kompana przy barowym stoliku. Bartkowi Cmienie wydawało się, że skądś zna tego człowieka, jednak nie mógł sobie przypomnieć skąd. Gdy kelner stawiał kieliszki z wódką, mężczyzna z bródką natarczywie złapał go za rękę i powiedział:

– Słuchaj, to ci opowiem, co spotkało mojego kumpla.

– Dobrze.

Facet miał wyjątkowo silny uścisk dłoni, dlatego nieco zdez-

orientowany Bartek szybko się zgodził. Myślał, że człowiek zacznie opowiadać o sobie, ale Irek przez moment zamyślił się, sięgnął po kieliszek i powiedział jedno słowo:

– Tolek.

– Jaki Tolek?

Cmiena chciał wiedzieć, o kogo chodzi, gdyż tracił orientację w sytuacji. Jak na jego umysł stępiony alkoholem, działo się za wiele i za szybko.

– Mój kolega z technikum.

– Co ten Tolek? – fotoreporter znów przerwał swojemu rozmówcy, ale ten gwałtownie zaprotestował:

– Nic nie wiesz! Nie miał szczęścia do kobiet.

– A kto je ma?... – z goryczą powiedział Bartek, przypominając sobie Natalię, która po trzech latach wspólnego życia w przytulnej kawalerce odeszła do jakiegoś rolnika. Tamten zaproponował jego ukochanej duży, piękny dom i chęć posiadania potomstwa. Był po prostu lepszy w licytacji. Bo co on mógł dać kobiecie? Samotne weekendy, gdyż wtedy zarabiał najwięcej na weselach i chrzcinach. Zrywane poranki lub spóźnione wieczory – bo wówczas najwięcej działo się w mieście. Mało kasy i ciągłą pracę. Dla Natalii czasu zostawało naprawdę niewiele.

– Ale jego zawsze waliły w rogi. Zawsze.

Cmiena zastanawiał się przez chwilę, czy nawiązać do tego zdania, bo w sumie też mógłby co nieco opowiedzieć. Spróbował wtrącić:

– No to gość ma tak jak ja.

– Daj mi opowiedzieć o Tolku! Ty nic nie wiesz o sprawie! – człowiek z bródką zdenerwował się ciągłymi ripostami rozmówcy.

Bartek uznał, że alkohol podnosi u Irka poziom agresji. Postanowił się nie odzywać. Człowiek z bródką chyba się zreflektował, że musi wkładać w opowieść trochę mniej emocji, bo

przez zapalczywość może stracić możliwość picia alkoholu w towarzystwie i zainteresowanie kompana. Pewnie przeanalizował, że to dużo jak na dzisiejszy zimny wieczór. Już spokojniej powiedział:

– Zdenerwowałem się, ale już po sprawie. Jak takiś niecierpliwy, to nie będę cię zanudzał, jak go poznałem. Opowiem, jak się jego sprawy miały.

– Opowiadaj – szybko zdecydował fotoreporter, tym bardziej że gość pokazał na kieliszki. Wychylili je jednym haustem i ciężko westchnęli. Tym razem Irek skinął na kelnera i zamówił kolejną porcję. Kelner przyniósł je wraz z gorącymi porcjami bigosu. Bartek Cmiena musiał przyznać: co jak co, ale w tej mordowni bigos robili doskonały. Zawsze był kwaśny i ciepły, a w środku swojska kiełbasa z czosnkiem. Wspaniale to pachniało. Idealne do zimnej wódki. Jadł go z apetytem. Brakowało mu tylko ciepłej herbaty z cytryną.

– Pięć lat temu żona zostawiła go z dwójką maleńkich dzieci i poleciała do Australii. Pięknie. Czujesz?

– No… – bezmyślnie przytaknął Bartek, ale nic nie wiedział i nie czuł, bo dzieci i żony nie miał. Jego twarz musiała precyzyjnie odzwierciedlać stan umysłu, gdyż człowiek z bródką agresywnie zareagował:

– Co tam wiesz, jak się sprawy miały!? Gówno czujesz!

Cmiena nie zamierzał się spierać, chciał teraz coś zjeść. Pokiwał głową i zrobił dziwną minę. W zasadzie odeszła mu ochota, by opowiadać o swoim pechu.

– Gość z małymi dziećmi handlujący na bazarze. Czujesz sprawę?

– No nie najlepiej – fotoreporter w końcu przyznał się do niewiedzy.

NIEZŁA BRYKA

Gdybyśmy znali choćby jedną tajemnicę samochodów, którymi jeździmy, i to niedotyczącą stanu technicznego – nie zdecydowalibyśmy się nimi poruszać.

Łódź, marzec 2001

W marcową niedzielę Otton Kerpen marzł w limuzynie wartej pięćdziesiąt tysięcy. Siedzący obok właściciel auta oszczędzał na paliwie i nie chciał włączyć ogrzewania postojowego. A pogoda była wyjątkowo kiepska: padał deszcz ze śniegiem i wiał silny wiatr. Przed wyjazdem na giełdę, gdy Otton twierdził, że to bez sensu, starszy brat Ulryk przekonywał:

– Mein Bruder, to jest najlepsza pogoda do sprzedaży auta na giełdzie! Termin przed Wielkanocą, a w święta ludzie chcą pokazać się w nowych samochodach. Nie mają czasu na zbyt dokładne oglądanie, deszcz i błoto zamaskowały co drobniejsze defekty. No i najważniejsze – przyjdą tylko ci, co już się zdecydowali. Nie będzie turystów i przysmradzaczy.

Bracia Kerpen żyli z motoryzacji: Ulryk z handlu samochodami, a Otton z montażu samochodowego sprzętu grającego. Dla starszego brata, który potrafił kupić i sprzedać każdy samochód i przy okazji sporo na tym zarobić, giełda była wszystkim. Co prawda, jakiś czas temu komisy i dealerzy oferujący kredyty popsuli mu czasowo interes, ale on szybko się przystosował: zarejestrował firmę, stworzył utwardzony plac, podpisał umowę z bankiem i dzielnie walczył z konkurencją. Jednak jak

sam mówił, najlepiej szło mu na giełdzie. Widocznie lubił miejski folklor i tego typu klimaty. Młodszego brata, który lubił te wypady, bo zawsze działo się coś ciekawego: mógł coś kupić, złapać jakąś ekstra fuchę. zabierał dla towarzystwa,

Młodszy Kerpen przewidywał, że przy takiej pogodzie przeziębienie może się rozwinąć w zapalenie oskrzeli lub nawet płuc. Katar mu nie przeszkadzał – z powodu alergii miał go od zawsze. Nie odmówił wyjazdu, bo zgodnie z niepisaną umową, za te kilka godzin stania na giełdzie gwarantowane były piwo i obiad. Dla niego było to bardziej interesujące niż siedzenie przed telewizorem w domu i wysłuchiwanie matki aktywnie uczestniczącej w katolickiej mszy świętej. Dziś jednak było wyjątkowo zimno, więc Otton zdobył się na odwagę i zapytał nieśmiało:

– Mein Gott. Zimno jak cholera. Nie daję rady. Pójdziesz po barszczyk lub flaczki? Na bigosik też bym się skusił…

– Ja, ja. Każdego szkoda. Sam idź i zjedz na zewnątrz, żebyś mi skóry w środku nie pochlapał – szorstko odpowiedział Ulryk, wyjmując z kieszeni dwadzieścia złotych.

Otton, zanim wziął banknot, musiał schować paczkę chusteczek do nosa, ale nie zdążył tego zrobić, bo sięgnął po nią brat. Jemu też ciągle kapało z krzywego nosa. Działo się tak od kilku tygodni, odkąd go złamał. Gdy młody chłopak otworzył drzwi i wystawił nogę na zewnątrz, poczuł przejmujące zimno i cofnął się z powrotem do samochodu. Równocześnie skalkulował, że jeśli teraz coś zje, będzie to podłe i na dodatek może się jeszcze bardziej przeziębić. Zdecydowanie lepiej było zaczekać na lepszy posiłek w przydrożnym zajeździe. To się bardziej opłacało. Był pewien, że po sprzedaży limuzyny starszy brat będzie bardziej szczodry. Nie lubił niedzielnych obiadów matki odgrzewanych z soboty, a zrobionych z półproduktów kupionych w jakimś tanim dyskoncie, więc powiedział:

– Łooo, zjemy coś po drodze do domu.

Ulryk wyjechał z Polski do Niemiec Zachodnich dwa lata przed Okrągłym Stołem. Z racji pochodzenia i nazwiska praktycznie od razu dostał obywatelstwo niemieckie. Jako młody chłopak po technikum samochodowym zaczął pracować w autoryzowanym serwisie. Dorobił się mieszkania, dobrej bryki i niemieckiej żony. Po śmierci ojca zerwał kontakty z matką, która nagle zaczęła być gorliwą Polką i katoliczką. Otton podejrzewał, że to było główną przyczyną decyzji brata, gdyż wcześniej byli gorliwymi i przykładnymi protestantami. Ojciec, Olaf, pochodzący z dawnych Prus Wschodnich, miał bzika na punkcie Zakonu Najświętszej Maryi Panny. Ponoć pochodzili ze starego rodu, który dał jednego z wielkich mistrzów zakonu. Do czasu wolnej Polski maskował się z tym, ale już po 1989 roku szczycił się swoją bogatą biblioteczką i wiedzą na ten temat. W 1998 roku pojechał na pierwszą inscenizację wielkiej bitwy z 1410 roku. Zapożyczył się, by kupić stosowny strój oraz zbroję i godnie reprezentować ród Kerpenów, ale nie przeżył w tym uniformie nawet godziny. Niespodziewanie zmarł na atak serca. Zostawił do spłacenia spory kredyt i chłopaków pozbawionych ojcowskiego wsparcia. Wtedy obaj poczuli, że nie muszą być zagorzałymi protestantami. I Ulryk, i Otton nie mieli ojcu za złe, że solidarnie spłacali zaciągnięty kredyt, ale najgorsze były imiona, które im nadał. Miały one przypominać wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego. Z tego powodu obaj doświadczyli ciężkiego życia w szkołach, ale jakoś dawali radę. W Polsce Ludowej, z racji ich domniemanego pochodzenia i nazwiska, nie mogli liczyć na przyjęcie do dobrej szkoły. Skierowano ich do samochodowej zawodówki. Ulryk często wracał z niej z podbitym okiem. Otton postawił na dialog i tłumaczył kolegom, że takie imiona nosili także piastowscy książęta, ale który z chłopaków z zawodówki uczy się historii? Wiedzę czerpali głównie z jedynej telewizji, a opinię o stosunkach polsko-krzyżackich z filmu „Krzyżacy". Docinków było sporo, ale bra-

cia nauczyli się polegać na sobie i nie za bardzo wchodzić w grupę. Wszelkie złośliwości ustały, jak dali pokaz sztuki fechtunku na jakimś festynie mieczami półtoraręcznymi. Pierwszy raz zrobili to na początku drugiej klasy Ulryka. Otton zrobił to zaraz na początku nauki. Ojciec nauczył ich właśnie tego – sprawnego władania wszelką bronią białą. Ulryk wrócił do Polski po swoim rozwodzie w styczniu 2000 roku. Rozwinął handel samochodami, tym bardziej że już wcześniej ściągał je z Niemiec do Polski.

Żeby nawiązać rozmowę i wyrazić swoje niezadowolenie, młodszy Kerpen dodał z przekąsem:

– Dziś ta bryka nie pójdzie.

– Nie prorokuj. Pójdzie, pójdzie – uspokajał Ulryk.

– Pewnie jakiś Cygan cię zbajeruje, kupi za psie pieniądze i stracisz zarobek – kontynuował swój wywód.

Nagle kichnął, przeprosił i wytarł nos. Usiłował znaleźć jakiś temat do rozmowy. Nie lubił siedzieć w milczeniu. Nie chciał jednak namawiać starszego brata na opowieść, jak wyglądały jego pierwsze lata w Reichu. Znał to na pamięć. Wiedział, że Ulryk nie zaaklimatyzował się w Niemczech, uważał, że traktują go tam jak Polaka. Kiedy tu wrócił – dawano mu odczuć, że jest Niemcem. Paranoja. Ale rozmowa dla Ottona była ważna, bo gdy nic nie mówił, katar się nasilał.

Starszy brat był opanowany, nie dał się wyprowadzić z równowagi:

– Nie mędrkuj, pamiętasz tamte śmierdzące czarne coupe?

– Łooo... Jakie śmierdzące? – zaciekawił się Otton, szukając w pamięci odpowiedniego samochodu.

Tymczasem Ulryk jakby ze wstydem odpowiedział:

– Nie udawaj, mein Bruder, że nie wiesz. Takie wybajerzone na maksa. Z dwustrefową klimą, szyberdachem na szesnastkach alusach.

– Łooo. Te, co przez lato nie sprzedałeś i popchnąłeś dopie-

ro na zimę?

– Ja, ja, naturlich.

Otton domyślił się, że to była jedna z większych tajemnic Ulryka. Starszy brat długo jak na swoje możliwości trzymał to auto i nie jeździł nim na co dzień tak, jak innymi wzbudzającymi zainteresowanie, które sprzedawał. Na dodatek nikomu znajomemu nie chciał pożyczyć czarnej piękności. Gdy handlarz wyjeżdżał do Niemiec, Ottonowi udało się kilka razy podkraść kluczyki i przejechać nią na wiejskie imprezy. Panienki podrywało się na tę furę doskonale, ale gdy pobyły w samochodzie dłuższą chwilę, przestawały być przychylne. Niby kusiła piękna, jasna skórzano-zamszowa tapicerka i pewnie chciały poczuć jej dotyk na własnej skórze, ale gdy tylko znalazły się w środku, a on zamykał drzwi, robiły dziwne miny i nic nie tłumacząc, uciekały. Stanowiło to dla niego zagadkę: dlaczego tak nagle traciły ochotę na bliższy kontakt, skoro wcześniej wydawały się nader chętne i same prowokowały? Często zastanawiał się, czemu na taką wybajerzoną brykę zaliczył niewiele celnych trafień? Później jakaś zła sława zrobiła się wokół auta i już żadnej dziewczyny na furę nie poderwał. W końcu Ulryk sprzedał auto i pokusy się skończyły.

Po chwili ciszy starszy brat ze spokojem dodał:

– No… Każdy wózek znajdzie swego amatora. Tak jak tamten. Czuję, że dziś go popchniemy. Muszę, bo na ratę za mieszkanie nie będę miał.

– No to powiesz, jak to było z czarnym coupe?

Otton czuł, że z tamtym samochodem wiązała się jakaś tajemnica. Chciał ją poznać.

– A nikomu nie wygadasz? – Ulryk okazał się rozmowniejszy niż zwykle. Otton wiedział, że w starszym bracie gra słowiańska dusza. Jest niezależny, choć dobrze zorganizowany, bardzo źle znosi jakiekolwiek rozkazy oraz sugestie. Musiał mieć wolność i możliwość wyboru bez względu na cenę. Dlate-

go nie wypaliły pobyt na stałe w Niemczech u boku Niemki i praca w niemieckich serwisach i warsztatach. On lubił, jak coś się działo, i dodatkowo nienawidził robić wszystkiego pod zegarek.

Korzystając z okazji, że starszy brat chce coś opowiedzieć, Otton szybko odrzekł:

– Nie.

– Wmuliłem z nim, mein Bruder – przyznał handlarz i w samochodzie znów zapanowała cisza.

Otton nie wiedział, co powiedzieć. Dotychczas był przekonany, że bratu zawsze wszystko się udawało. „Nigdy nie stracił na samochodzie! Zawsze zarabiał, nawet na najgorszym gracie. A tu nagle taka wiadomość i to od niego samego!”. Niepewnie zapytał:

– Jak to?! Przecież cenę giełdową dostałeś!? Sam widziałem?!

– Ja, ja, Bruder. Naturlich – przytaknął początkowo Ulryk. – Za dobre pieniądze kupiłem go w Niemczech od Turka. Zima była, jak go brałem, i nie zwróciłem uwagi na mały szczegół, Bruder…

– Jaki? – zapytał zaciekawiony Otton.

– Było tam pełno choinek zapachowych. Ale ogólnie bryka legalna, nie bita, serwisowana, przebiegu nie trzeba było zbytnio korektorować, oponki luks, rocznik… Pasowała. W brifie stało, że jeździł nim tylko stary dziadek. Chytrość uśpiła moją czujność. Wszystko wydawało się w porządku. Problemy zaczęły się, jak słoneczko wyszło i zrobiło się cieplej.

– Co? – niepewnie zapytał Otton.

– Scheisse. Zaczęło śmierdzieć. Nijak się tego smrodu nie mogłem pozbyć. Myłem, szorowałem, psikałem. Nic. Śmierdziało tak, że zapach wchodził w ubranie, usta, nos. Nie szło tym samochodem jeździć. Po godzinie w nim… – nagle zaczął gestykulować: – Co ja mówię: po paru minutach jazdy śmier-

działeś tym czymś, przez następny tydzień. Dopiero gość od prania dywanów powiedział, co to za odór.

Handlarzem z obrzydzenia zatrzęsło. Otton tego nie rozumiał, bo nie czuł w tamtym pojeździe żadnego zapachu.

– Co tak śmierdziało? – zapytał zaciekawiony, a starszy brat krótko odpowiedział:

– Trup.

– Mein Gott! W tym aucie kogoś zabili?

Dosłownie go zamurowało. Miał świadomość, że sprowadzone przez Ulryka auta nie zawsze były do końca uczciwie kupione, ale zabójstwo?! Nie chciało mu się w to wierzyć.

WIELKI KONTRAKT

Małe niedociągnięcie, które uznajemy za nieistotne mogą doprowadzić do katastrofy ze skutkami przekraczającymi nasze wyobrażenia…

Centralne Mazowsze, kwiecień 2005

W ciepłe kwietniowe popołudnie na wiejskim cmentarzu otoczonym polami i lasem panowała niczym niezmącona cisza. W centralnym miejscu nekropolii stał mały stary kościółek. Zbudowano go podczas powstania styczniowego w XIX wieku, a swoją podstawową funkcję pełnił do ubiegłego lata, dopóki proboszcz nie przeniósł się do nowego, większego kościoła i proboszczówki. Do świątyni prowadziła żwirowa alejka, przy której rosły stare zdeformowane wierzby. Kilka metrów od niej na ławce, obok świeżego grobu siedział mężczyzna i bezgłośnie płakał. Ekipa pomagająca w pogrzebie, gdy tylko jej zapłacił, szybko spakowała swoje narzędzia i odeszła. Ostatni przyzwoity grabarz poklepywał mogiłę łopatą i narzucił na wierzch dwa wieńce kupione przez mężczyznę. Nikt z obsługi pogrzebu nie nawiązał rozmowy, nawet na niego nie spojrzał.

Ksiądz przebrał się w kapliczce i skierował w stronę bramy wyjściowej cmentarza, ale przechodząc obok żałobnika, na moment się zatrzymał i rozejrzał. Jako że nie było nikogo w pobliżu, odwrócił się i powiedział do siedzącego na ławeczce:

– Szczęść Boże. Przyjaciel?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Potrzebował chwili

namysłu, by potwierdzić.

– Tak – jednak zaraz dodał: – Zresztą sam nie wiem.

To zdanie zainteresowało duchownego. Odwrócił się w kierunku rozmówcy i, uważnie mu się przypatrując, zapytał:

– Powspominamy trochę?

– Bardzo proszę. Patryk Chełmiński jestem.

Mężczyzna wytarł chusteczką oczy i nos. Wstał, podając rękę kapłanowi. Po powitaniu usiadł i nadal tępo patrzył na świeżo usypaną mogiłę i tabliczkę z napisem: „Grzegorz Woluntarski, urodzony 19 grudnia 1970 r., zmarły 19 września 2005 r.”. Ksiądz, siadając obok, rozpiął płaszcz, patrząc na swoje lśniące lakierki starał się wytłumaczyć:

– To nasz pierwszy pogrzeb w tej parafii. Długo będziemy go pamiętać.

Licząc na szczerą odpowiedź, zapytał:

– Dlaczego tak niewielu ludzi przyszło na pogrzeb młodego człowieka? Co on zrobił?

W jego kapłaństwie liczba ludzi zgromadzonych podczas ostatniej drogi była po raz pierwszy tak mała. Chciał dociec, dlaczego tak się stało.

– Mało? Nikt nie przyszedł.

Patryk nagle się ożywił. Patrząc na duchownego, sarkastycznie dodał:

– Tylko mnie nikt nie zapłacił za to, że tu jestem. Tak to jest, proszę księdza, jak się żyje dla innych i dla siebie czasu zabraknie. Dziś pochowałem Grzegorza i przekonałem się, że nie miał zbyt wielu wiernych i wdzięcznych przyjaciół.

– Nie rozumiemy.

Proboszcz był coraz bardziej zaintrygowany sytuacją. Myślał, że skoro żyje się dla innych, to będzie to oddane z nawiązką. Uznał, że być może ten przypadek wykorzysta w przyszłości podczas kazania. Nie znał sprawy, bo wszystkie formalności załatwiał poprzednik. Jednak jego, wraz z wikariuszem, biskup

z dnia na dzień odwołał na inną parafię. Podejrzewał, że za nagłym przeniesieniem obu księży stała sprawa opuszczenia przez nich starego zabytkowego kościoła objętego opieką konserwatora zabytków. Ponoć zaginęły wtedy dwie bardzo cenne, zabytkowe rzeźby. Sprawy załatwiono tak szybko, że nie odbyło się nawet pożegnanie. Wszystko stanowiło dla kapłana zagadkę: nagłe odwołanie obu księży, ten dziwny pogrzeb z jedynym żałobnikiem... Miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej o zmarłym. A Chełmiński, niczego nie świadom, nie ponaglany mówił:

– Pochowałem sam Woluntarskiego, a to był porządny facet. Dawał siebie innym, ale nikt tego nie doceniał.

Ksiądz nie zamierzał zadowalać się ogólnikami, chciał dowiedzieć się o tym człowieku więcej konkretnych rzeczy, więc dość gwałtownie przerwał:

– O tym już pan mówił.

– Tak, tak – przytaknął mężczyzna.

Duchowny spytał rzeczowo:

– Dlaczego akurat tutaj go pochowano?

– W tej wiosce mieszkała cała rodzina. Tu leżą jego rodzice, dziadkowie. Nie miał rodzeństwa. Matka i ojciec też byli jedynakami. Chciał być tu pochowany. Teraz są razem.

Żałobnik na moment zawiesił głos i z żalem dodał:

– Tylko nie będzie miał kto grobów doglądać.

Kapłan już coś wiedział o nowej mogile, ale zapytał o to, co wydawało mu się najważniejsze:

– To nie miał rodziny? Dzieci?

– Miał i wydawało mi się, że są to dobrze ułożone nastolatki. Dostatecznie, żeby nie rzec: bardzo dobrze zabezpieczył je na przyszłość. I jak mu się odwdzięczają?

Patryk, mimo że czuł niewyobrażalny ból wewnątrz, dodał jeszcze:

– Z tego, co wiem, miał drugą rodzinę na głowie. Dbał rów-

nież o inne kobiety i ich dzieci.

Proboszcz początkowo zaniemówił, bo nie wiedział, o co chodzi, ale po chwili ciszy szybko i jednoznacznie ocenił Grzegorza.

– Żył z kilkoma kobietami równocześnie?! No to grzeszył.

Chełmiński początkowo się zmieszał, bo wypowiedziane przez duchownego zdanie wstrząsnęło nim i podziałało jak zimny prysznic. Ale po chwili ciszy otrząsnął się i spokojnie odpowiedział:

– Nie wiem. Ksiądz się na tym zna, nie ja.

Nie zamierzał prowokować kapłana, gdyż czuł potrzebę opowiedzenia o życiu człowieka, któremu zarówno on, jak i inni ludzie wiele zawdzięczali. Z rezygnacją pokiwał głową, a duchowny potraktował to jako aprobatę opinii.

– Musiał być zły, skoro tylko pan przyszedł na pogrzeb.

Taka sytuacja była sprzeczna ze światopoglądem księdza i niezgodna z jego dotychczasowym doświadczeniem. Natomiast Patryk wyczuwał niechęć rozmówcy do Grzegorza, ale chcąc walczyć o dobre imię przyjaciela, postanowił polemizować:

– Zło to też pojęcie względne.

To zdanie poirytowało kapłana, więc szybko odpowiedział:

– No nie. Jestem co prawda tylko księdzem w małej, wiejskiej parafii, ale zło to zło. Zawsze!

Dostrzegając zdenerwowanie rozmówcy, Patryk zmienił ton wypowiedzi i dodał:

– Nie wiem. I on, i ja po prostu chcieliśmy spokojnie żyć.

Chełmiński nie miał ochoty na spór. Chciał tylko porozmawiać o życiu Grzegorza i na tym zamierzał się skupić. W ten sposób pragnął dokończyć pochówku.

Duchowny był często chwalony przez wykładowców w seminarium jako dobry materiał na parafialnego psychologa, teraz zamierzał wykorzystać swoje umiejętności. Rozumiał, że Patryk

się wycofuje, a on za wszelką cenę nie chciał do tego dopuścić. Postanowił iść w rozmowie krok dalej. Cicho zapytał:

– To kim był ten Grzegorz Woluntarski?

– Kim był Grzegorz? No właśnie… – zapytał Patryk retorycznie, powtarzając słowa kapłana. Po chwili sam sobie odpowiedział: – Nie wiem. Z jednej strony człowiek, który wprost uwielbiał kłopoty, ale z drugiej osoba zawsze myśląca o innych. Był po prostu…

Na moment przerwał, szukając odpowiedniego słowa. Spojrzał na wierzby powykręcane w dziwnych kształtach. W końcu wydukał:

– … Czarujący. Boże, jakim on był wspaniałym człowiekiem…

Mężczyzna bezgłośnie załkał na wspomnienie przyjaciela. Duchowny zaskoczony zachowaniem Chełmińskiego łagodnie zapytał:

– Jak zmarł?

Żałobnik wytarł nos w chusteczkę, spojrzał mętnym wzrokiem przed siebie i zaczął opowiadać:

– Dziwna choroba. Dwa miesiące temu zaczęła mu drętwieć ręka. Po miesiącu już tylko bełkotał i robił pod siebie. No i dziś mamy pogrzeb. Ponoć mózg zaczął wytwarzać jakieś dziwne białko, które zabijało jego własne neurony. Nie znam się na tym. Jutro miał jechać na terapię do Austrii, ale jego choroba była, jak on, bardzo szybka. Nic i nikt nie potrafił jej zatrzymać.

Proboszcz był coraz bardziej przekonany, że pochował wielkiego grzesznika, bo przecież Bóg bez przyczyny nie zsyłałby takiej kary na zwykłego śmiertelnika?! Jako kapłan był coraz bardziej zaciekawiony życiem, a zwłaszcza grzechami Grzegorza. Grzecznie więc spytał:

– To musiał być bogaty, skoro stać go było na zagraniczne leczenie?

Spis treści

DOBRY GLINA **4**

LUDZKIE ZDJĘCIE **10**

NIEZŁA BRYKA **15**

WIELKI KONTRAKT **22**

Martin CROSS - rocznik 1968, Wielkopolanin, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego i Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie. Realizuje się w trzech projektach: krótkich opowiadaniach obyczajowych, dłuższych nowelach fantastycznych i długich thrillerach. Pracuje w instytucjach samorządowych. W dniu jego 44 urodzin Majowie zaplanowali koniec świata...